

Katyń – zbrodnia bez kary



Uroczystości „Katyń Pamiętamy – Uczcijmy Pamięć Bohaterów”,
Warszawa, Plac Marszałka Józefa Piłsudskiego, 9 listopada 2007,
fot. Archiwum Kancelarii Prezydenta RP, wikimedia commons

Aleksandra Ziółkowska-Boehm (*Wilmington, Delaware*)

W Stanach Zjednoczonych w 2007 r. ukazała się poważna praca na temat Katynia zatytułowana „Katyń. Zbrodnia bez kary” (Crime Without Punishment). Książkę wydało prestiżowe wydawnictwo Yale University Press, liczy 561 stron. Redaktorem całości jest historyk, profesor Anna M. Cienciała z Uniwersytetu w Kansas, autorka między innymi książek „Poland and the Western Powers. 1938-1939”(1968), „From Versailles To Locarno” (współautor: Titus Komarnicki), (1984). Redaktorami książki o Katyniu są także dr Natalia S. Lebedeva z Instytutu Historii Powszechnej Rosyjskiej Akademii Nauk i prof. Wojciech Materski, dyrektor Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk.

Ta praca o Katyniu zawiera wybór przetłumaczonych na język angielski dokumentów opublikowanych wcześniej w dwóch tomach rosyjskich i czterech polskich. W Polsce ukazały się także cztery tomy rosyjskich dokumentów pt. „Katyń. Dokumenty Zbrodni” przygotowane przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych (1998-2006). Profesor Cienciała pisze o nich na początku książki w „Note on the Documents”. Całość książki, jak i poszczególne trzy części, poprzedzają doskonałe wstępy Anny M. Cienciały.



Pomnik Katyński na cmentarzu w Opocznie, fot. Janusz Krasicki



Pomnik Katyński w Gunnersbury, Londyn

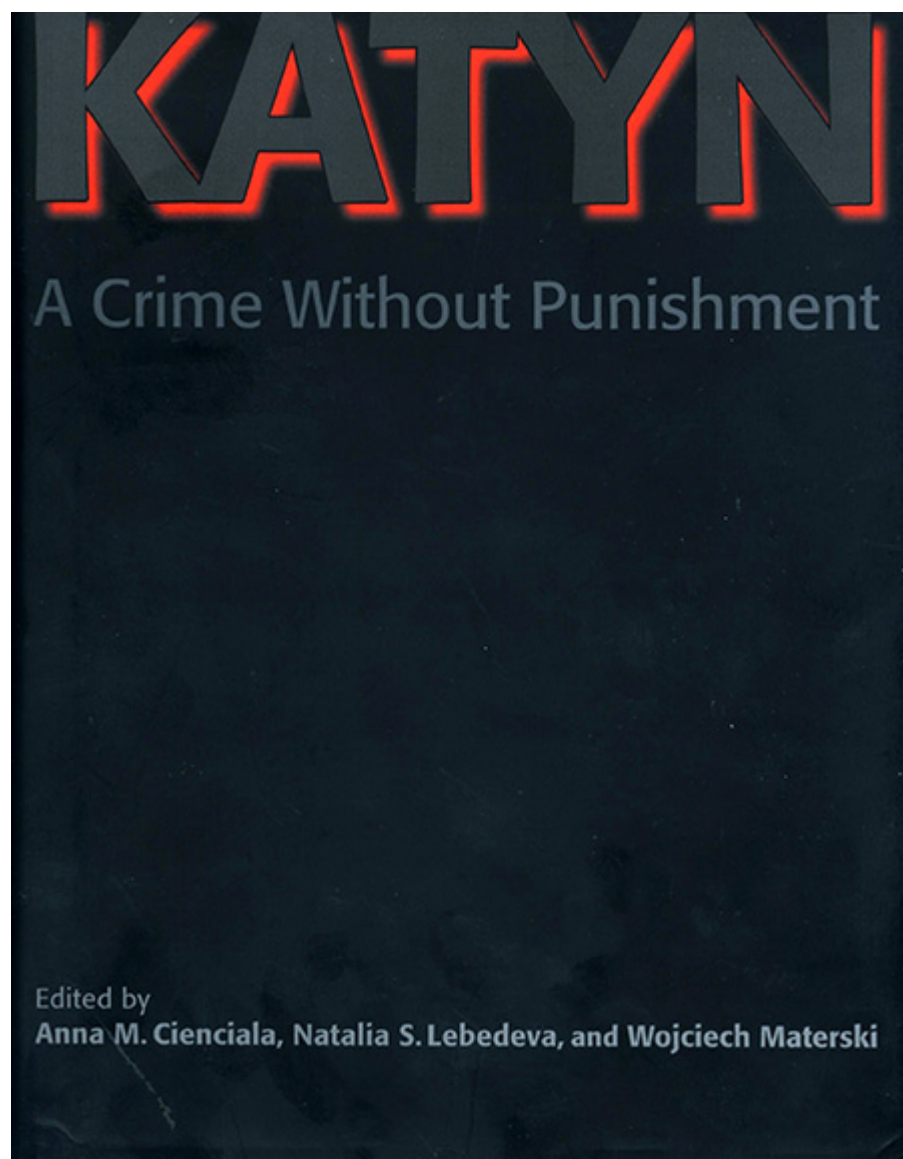
✱

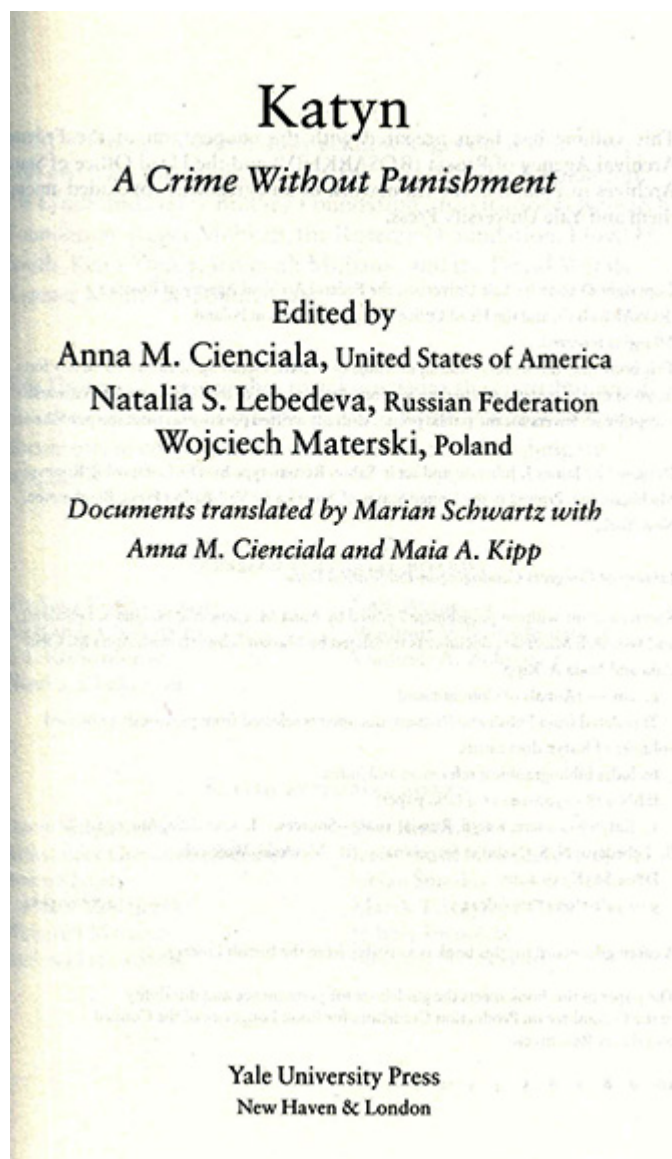
Dotychczas w kręgu języka angielskiego najważniejszą pozycją zarówno przed odtajnieniem dokumentów rosyjskich w latach 1989-95, jak i zachowującą dużą wartość wciąż teraz, jest książka J. (Janusza) K. (Kazimierza) Zawodnego, „Death in the Forest,” (University of Notre Dame Press, 1962, przedruki, Hippocrene, New York, 1988). Zawodny wydał też rozszerzone

wydanie polskie pt. „Katyń” z przedmową Zbigniewa Brzezińskiego (Lublin-Paryż, 1988). Książka J.K. Zawodnego zawiera wszystkie informacje dostępne przed odtajnieniem dokumentów rosyjskich pod koniec lat 80. i na początku lat 90. XX-go wieku. W 2005 roku na podstawie dokumentów rosyjskich w polskiej serii („Katyń. Dokumenty Zbrodni”, red. Lebediewa i Materski, tomy 1-4, Warszawa, 1995-2007) George Sanford, brytyjski politolog polskiego pochodzenia, wydał cenną książkę pt. „Katyń and the Soviet Massacre of 1940. Truth, Justice, and Memory” (Routledge, Londyn, oraz USA i Kanada, 2005). Książka zawiera starannie zebraną bibliografię.

Anna M. Cienciała uwzględnia także prace na temat Katynia, które ukazały się w Polsce po 1989 roku, między innymi wiele pryczyńków opublikowanych głównie w „Zeszytach Katyńskich.” Poza fundamentalną książką Jędrzeja Tucholskiego pt. „Mord w Katyniu. Kozielsk-Ostaszków-Starobielsk. Lista ofiar” (IW Pax, Warszawa 1991), ukazały się spisy nazwisk ofiar wydane przez „Kartę” oraz księgi cmentarne: Katyń i Charków (Tucholski jest też współautorem: „Charków. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego” (Rytm, Warszawa, 2003). Warto przypomnieć ważną książkę, pierwsze polskie wydanie Józefa Mackiewicza: „Katyń. Zbrodnia bez sądu i kary” (Warszawa, Antyk 1997) przygotowane przez Jacka Trznadla, który poruszył tematykę Katynia w „Zeszytach Katyńskich”, jak także w opowiadaniach „Z popiołu czy wstaniesz” (Arcana, Kraków

1995). Anna M. Cienciała przypomina (str. 398) kontrowersje wokół Mackiewicza i przyczynę, dlaczego jego praca „Zbrodnia Katyńska,” (1-sze wyd., Londyn, 1948) nie ukazała się pod jego nazwiskiem i została przypisana Zdzisławowi Stahlowi. Decyzja ta została podjęta by uniknąć kontrowersji, które krążyły o współpracy Mackiewicza z Niemcami, o które go oskarżyli komuniści. (Na ten temat są dwie książki Włodzimierza Boleckiego: „Ptasznik z Wilna” i „Wyrok” (obie 1991) wydane pod pseudonimem: Jerzy Malewski).





*

Książka „Katyn. A Crime Without Punishment” jest przede wszystkim przeznaczona dla czytelników języka angielskiego, którzy mało, albo w ogóle nic nie wiedzą o historii Polski i o zbrodni katyńskiej. Adresatem wstępów do każdej części jest więc czytelnik amerykański czy znający język angielski – który się interesuje II-a wojną światową, przestępstwami wojennymi, lecz mało wie, albo nic nie wie, o historii Polski i o stosunkach

polsko-rosyjsko/sowieckich.

Książka zawiera dokładnie 122 dokumenty, obszerne przypisy i aneksy, wybór map i ilustracji. Praca zawiera zbiór dokumentów, jak też przypisy, które pozwalają się zorientować w obszernej literaturze tematu. Na pewno adresatem przypisów końcowych (end notes) jest czytelnik, który chce zapoznać się ze źródłami opinii lub cytatami, które są podane we wstępach.

Czytelnik amerykański dostaje pełne opracowanie tematu katyńskiego (jak umownie mówi się o zbrodniach popełnionych także na jeńcach z obozów w Ostaszkowie i Starobielsku, które dotychczas nie są wciąż zbadane). Tom składa się z trzech części:

1. Jeńcy niewypowiedzianej wojny, 23 sierpnia 1939 – 5 marca 1940, 2. Zagłada, marzec-czerwiec 1940, 3. Katyń i jego echa –1940 – do czasów bieżących (2005).

Znakomita wiedza prof. Cienciały i jej kunszt edytorski wzbudza szacunek i podziw. Cienciała między innymi przypomina apel dr Zbigniewa Brzezińskiego o ujawnienie prawdy o Katyniu, porusza też kontrowersyjny temat, czy więźniowie wywiezieni do Griazowca, ocaleni zostali po to, by być potencjalnymi kolaborantami. (Większość okazała się być tak samo patriotyczna jak ich zamordowani koledzy, patrz dok. Nr 89).

Temat Katynia ożył w Stanach Zjednoczonych w związku z nominacją filmu Andrzeja Wajdy do Oscara. Na łamach „New York Review of Books” (Vol. 55, Nr 2, 14 luty 2008) zabrała głos pisarka Anne Applebaum, laureatka nagrody Pulitzera za książkę „Gułag”. Applebaum pisze na temat nabrzmiałych latami lęków i nieufności, które film przywrócił:

Tego rodzaju odczucia to typowe efekty uboczne nie tylko patriotycznego kina, ale patriotyzmu w ogóle. Te same emocje, które wiążą ludzi ze sobą – zachęcając ich do pracy na rzecz wspólnego celu, do budowy instytucji politycznych, do czynienia ich społeczeństwa bardziej wolnym i sprawiedliwym – są w jakimś sensie powiązane z emocjami, które u tych samych ludzi powodują paranoję wobec cudzoziemców i nieufność wobec niepatriotycznych sąsiadów z tej samej ulicy, którzy głosują na inną partię polityczną. Zbyt wiele patriotyzmu przeszkadza demokracji i ogranicza społeczeństwo obywatelskie. Z drugiej strony, bez pewnej dawki patriotyzmu demokracja nie jest w ogóle możliwa.

Anna M. Cienciała jest autorką wielu współczesnych omówień historycznych. Na łamach nowojorskiego „Przeglądu Polskiego” (dodatku do polonijnego „Nowego Dziennika”) pisała między innymi o śledztwie katyńskim z lat 1990-2005. Zastanawia się nad tym, że aczkolwiek stanowisko rosyjskie względem Katynia

jest znane od lat, to dlaczego nie było śledztwa polskiego? Przypomniała, że śledztwo polskie wszczęto w latach 90. ub. wieku, ale zostało zaniechane, gdyż ministerstwa sprawiedliwości obu państw nieoficjalnie uzgodniły – zapewne w celu niepogarszania wzajemnych stosunków – pozostawić je stronie rosyjskiej.

Na temat rosyjskiego spojrzenia na zbrodnie wypowiadał się Jędrzej Tucholski:

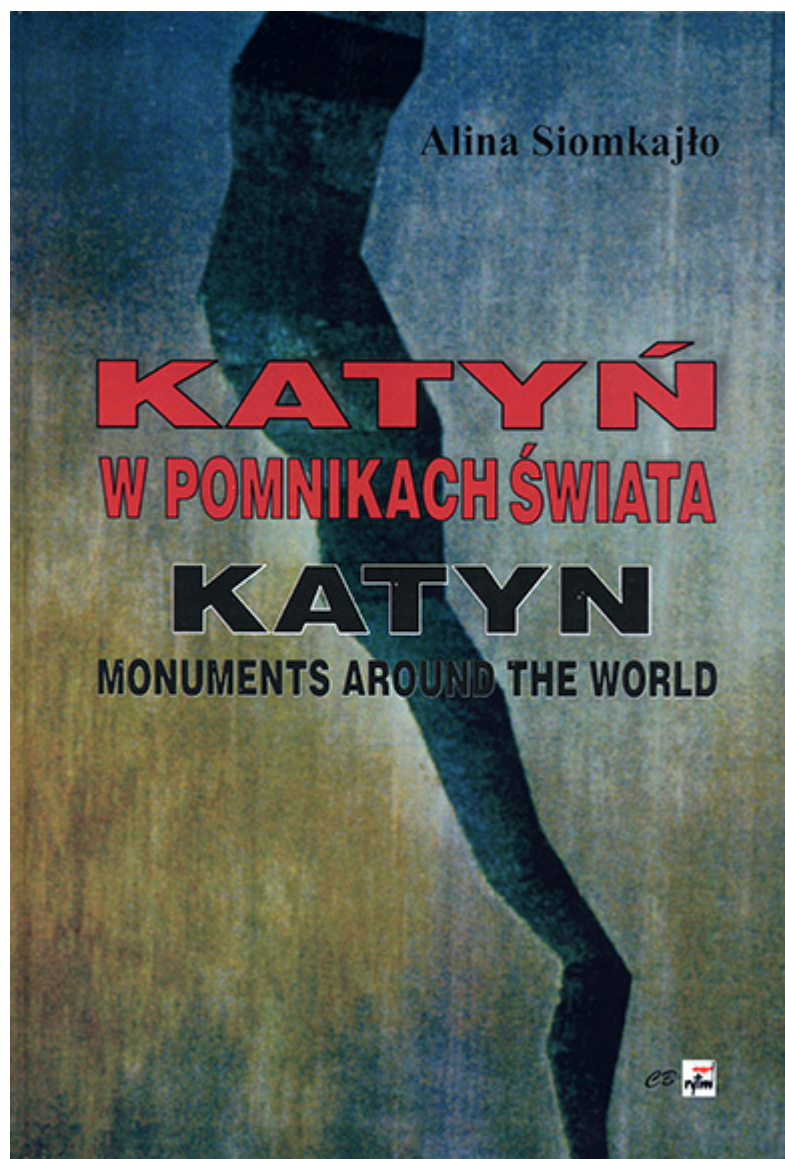
Kiedy w 1991 roku mówiło się, że jest to zbrodnia ludobójstwa, to samo powtarzali Rosjanie. Obecnie się z tego wycofali na rzecz zwykłego przestępstwa kryminalnego (Biuletyn IPN, 05-06/2005).

Anna Cieniała pisze na ten temat:

Jak wiadomo, stanowiska Polski i Rosji wobec zbrodni katyńskiej są diametralnie różne. Strona polska postrzega ją jako ludobójstwo na podstawie konwencji o ludobójstwie z 1948 r. Strona polska podkreśla, że ludobójstwo jest uznane w prawie międzynarodowym za zbrodnię nie podlegającą przedawnieniu, domaga się potępienia i ukarania odpowiedzialnych – ze Stalinem na czele – jak też

wykonawców zbrodni. Natomiast prawnicy rosyjscy odrzucają oskarżenie o ludobójstwo, zaliczając zbrodnię katyńską (która umownie obejmuje również masakry więźniów polskich w Charkowie [Starobielsk] i Twerze [Ostaszków], jak też więźniów z więzień NKWD na zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainie, w sumie 21 768 ofiar) do zbrodni pospolitych według kodeksu kryminalnego ZSRR obowiązującego w 1940 roku, a więc za zbrodnię podlegającą przedawnieniu. (...) Trzeba pamiętać, że dokumenty dotyczące zbrodni na polskich jeńcach wojennych wpierw odkryli i opublikowali historycy rosyjscy – Natalia S. Lebiediewa, Walentyna Parsadanowa i Jurij Zoria, wspierani przez bliskiego doradcę prezydenta Gorbaczowa, prezesa komisji ds. rehabilitacji ofiar stalinizmu Aleksandra N. Jakowlewa (Lebiediewa i Jakowlew otrzymali wysokie polskie odznaczenia państwowe). Oprócz tego w poszukiwaniu miejsc kaźni, jak też w szerzeniu informacji o zbrodni na polskich jeńcach i więźniach, Polakom wydatnie pomagali członkowie rosyjskiego stowarzyszenia Memoriał. Powinniśmy pamiętać o wkładzie tych Rosjan w odtajnianie zbrodni katyńskiej, tym bardziej, że jest to w Rosji działalność bardzo niepopularna, bo godzi w rosyjską dumę narodową, która nadal hołduje pamięci *Wielikoj Oteczestwiennoj Wojny* (wielkiej wojny ojczyźnianej).

Anna M Cienciała także przypomina, że na temat zbrodni katyńskiej zapadło milczenie także ze strony aliantów, Anglii i Stanów Zjednoczonych, dla których w czasie wojny Rosja też była aliantem. Prezydent Franklin Roosevelt w czasie wojny skutecznie ignorował materiały, które mu na temat Katynia przedstawiano. Było tak także już po zakończeniu wojny. Pierwszy raz sprawa Katynia pojawiła się na forum politycznym, kiedy wzięła ją w swoje ręce Komisja Kongresu USA po wybuchu wojny koreańskiej. Kongresowa komisja Raya Maddena zgromadziła jako dowody zbrodni olbrzymi materiał, który został częściowo opublikowany.



Podobnie pro-sowiecko zachowała się wiele już lat po wojnie Wielka Brytania. Około 1970 roku pojawiła się inicjatywa budowy pomnika katyńskiego w londyńskiej dzielnicy Kingston-Chelsea, na którego postawienie władze brytyjskie kilka lat nie wyrażały zgody, aż wreszcie w 1976 roku Polonia brytyjska postawiła pomnik na cmentarzu Gunnersbury, miejscu pochówku około 1600 Polaków, w tym generałów Józefa Hallera, Tadeusza Bórkomorowskiego. Jak pisze Alina Siomkajło w książce :”Katyń w pomnikach świata”(Rytm, Warszawa 2002):

Po latach uciążliwych zabiegów angielsko-polskiego Komitetu Budowy Pomnika, przewycięzania kilkudziesięciu protestów ambasady sowieckiej i ambasady PRL w Wielkiej Brytanii, zarazem przy wyjątkowym poparciu (również finansowym) pomnikowej inicjatywy przez Kongres Polonii Amerykańskiej w Chicago, doszło w końcu do wystawienia pierwszego, wyprowadzonego z polskich pomieszczeń zamkniętych lub ogrodzonych, monumentu katyńskiego na londyńskim cmentarzu.

Ośłonięcie nastąpiło przy udziale zebranych w ilości 8 tysięcy ludzi. Jednocześnie pojawiały się prace Louisa FitzGibbona („Katyn - A Crime Without Parallel”, Londyn 1971), w BBC pokazano program na temat Katynia (1972).

Praca „Katyn. A Crime Without Punishment” stanowi wielki krok w kierunku upowszechnienia badań na temat tej zbrodni wśród angielskojęzycznych czytelników na całym świecie, książka wiosną 2007 ukazała się w Londynie. Fakt, że ukazała się w Stanach Zjednoczonych wydana przez wydawnictwo cenionego uniwersytetu Yale także ma duże znaczenie.

Katyn. A Crime Without Punishment, Edited by: Anna M. Cienciala, Natalia S. Lebedeva, and Wojciech Materski, Yale University Press, New Haven and London, 2007, str. 608.

Recenzja ukazała się w „Liście oceanicznym”, dodatku do „Gazety”, Toronto, marzec 2008.

*

Zobacz też:

Historia lubi się powtarzać

Nieżłomność „Inki” nie pozostawia nas obojętnymi

Z Jackiem Frankowskim - karykaturzystą, reżyserem filmów

dokumentalnych, rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm



Jacek Frankowski w programie telewizyjnym „Kawa czy herbata”

FOTO: DAREK KOWALEWSKI

Mówi Pan o sobie: "z wykształcenia leśnik, z zainteresowań historyk, z zawodu karykaturzysta ilustrator. Dodałabym jeszcze - reżyser wielu filmów dokumentalnych (bodaj najśłynniejszym jest film o „Ince”, o którym porozmawiamy.

Jako rysownik współpracował Pan z wieloma pismami, m.in. z „Rzeczpospolitą”, „Szpilekami”, „Karuzelą”, „Słowem Powszechnym”, „Lasem Polskim”. Dla telewizji tworzył Pan

projekty lalek m.in. do Szopki Noworocznej 1990/1991, Wielkanocnej szopki w jajku emitowanej w 1991 roku i widowiska telewizyjnego „Od Jałty do Magdaleny, czyli szopka w grajdole”, będącego satyrycznym podsumowaniem historii PRL. Współpracował Pan z Erykiem Lipińskim przy organizacji Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, założonego w 1987 r.

Za projekty lalek - zwierzątek do „Polskiego ZOO”, programu satyrycznego emitowanego w latach 1991-94, otrzymał Pan Złotą Szpilkę’91. W roku 1992 kapituła satyryków przyznała Panu tytuł Karykaturzysty Roku. Ma Pan ponad 200 wystaw indywidualnych. Za wystawę „Gwiazdy w siodle” przedstawiającą karykatury konne artystów, prezentowaną w 2008 r. podczas zawodów ART CUP w Klubie Jeździeckim „Lewada” w Zakrzowie otrzymał Pan od organizatorów tytuł „Kossaka karykatury polskiej”. W latach 1991-1994 robił Pan rysunki - karykatury do popularnego programu satyrycznego autorstwa Marcina Wolskiego „Polskie Zoo”.

W programie bohaterami były kukiełki zwierząt, które przedstawiały polityków. Przykładowo: Lew mówił głosem Lecha Wałęsy, głos Gawrona łądzaco przypominał głos gen. Wojciecha Jaruzelskiego, Żółwia kojarzono z Tadeuszem Mazowieckim, Hipopotama z Jackiem Kuroniem, a Koziołka z Bronisławem

Geremkiem. Para nierozłącznych Chomików jednoznacznie kojarzyła się widzom z braćmi Kaczyńskimi, a Kaczorek z Donaldem Tuskiem. W Lisie widzowie dopatrywali się podobieństwa do Adama Michnika, a Dzik, no cóż z Dzikim nie zaprzyjaźnił się Aleksander Kwaśniewski, ale to inna historia. Początkowo politycy będący pierwowzorami futerkowych bohaterów odbierali to jako atak na ich wizerunek. Z czasem obecność w „Polskim ZOO” zaczęto traktować jako nobilitację.

Zaskoczeniem dla twórców programu satyrycznego adresowanego do dorosłego widza była popularność „Polskiego ZOO” wśród dzieci, które traktowały go jako zabawną wieczorynkę. Miałem jednak dowody, że dzieci znakomicie kojarzyły futerkowych i pierzastych bohaterów z ich pierwowzorami ze sceny politycznej.



Jacek Frankowski – autokarykatura – z dwiema postaciami z „Polskiego ZOO”; z lewej – Lech Wałęsa jako lew, z prawej – Aleksander Kwaśniewski jako dzik

Jak dalece trzeba być utalentowanym rysownikiem i zorientowanym w arkanach polityki, sytuacji bieżącej - by tworzyć kolejne rysunki, które zwracając uwagę na konkretne sytuacje, mobilizują do refleksji?

Na moją twórczość zarówno satyryczną, jak i filmową, bez wątpienia, ma wpływ doświadczenie życia w państwie rządzonym

przez komunistów. Pamiętam heroiczną, wieloletnią walkę w latach pięćdziesiątych mieszkańców Kraśnika Fabrycznego w obronie wiary. Do kulminacji doszło 28 czerwca 1959 roku, gdy przeciwko mieszkańcom dopominającym się prawa uprawiania kultu religijnego, komunistyczne władze wysłały oddziały milicji, brutalnie pacyfikujące protest. Pomimo represji mieszkańcy Kraśnika nie poddawali się w walce o kościół. Muszę nadmienić, że walka kraśniczan o kościół o blisko rok wyprzedziła bardziej spopularyzowane wystąpienia z podobnymi postulatami mieszkańców Nowej Huty 27 kwietnia 1960 roku.

W marcu 1968 roku byłem studentem 1. roku Wydziału Leśnego SGGW. Mój rok był głównym organizatorem strajku solidarnościowego SGGW wspierającego protest studentów Uniwersytetu Warszawskiego przeciw cenzurze i w obronie wolności akademickiej z żądaniem powrotu na studia aresztowanych studentów. Wszyscy zaangażowani czynnie w strajk mieli, wynikające z doświadczeń osobistych, powody do sprzeciwu wobec rządów komunistycznych.

Tragiczne wydarzenia z grudnia 1970 roku na Wybrzeżu pokazały jaką przepaść dzieli społeczeństwo i rządzących. Słynne gierkowskie „Pomożecie?” skierowane w 1971 roku do stoczniovców budziło nadzieję. Jednak wydarzenia radomskie 1976 roku rozwiały złudzenia co do stosunku władz do wolnościowych dążeń Polaków. Nadzieja jednak nie umierała.

Sierpień 1980 roku i narodziny Solidarności. Stan wojenny na blisko 10 lat zablokował dążenia wolnościowe, które wybuchnęły ze zwielokrotnioną siłą po sukcesie wyborczym Solidarności 4 czerwca 1989 roku. Trzydzieści lat budowania demokratycznej Polski to także materiał do głębokiej refleksji.

Nie wiem, czy moje wejście w twórczość satyryczną jest typowe. Rysować lubiłem zawsze, często wypełniając sobie tym zajęciem czas w trakcie lekcji z różnych przedmiotów. Były nawet z tym drobne szkolne afery po przechwyceniach przez nauczycieli moich karykatur budzących nadmierne rozbawienie koleżeństwa w trakcie lekcji.

Debiutowałem w 1974 roku, już po studiach będąc asystentem w Instytucie Badawczym Leśnictwa, równocześnie w „Słowie Powszechnym” i „Lesie Polskim”. Sięgnąłem po ołówek satyryka pod wpływem zauroczenia twórczością Andrzeja Mleczki. Miałem szczęście, Gdy po latach ograniczenia współpracy z prasą w latach osiemdziesiątych próbowałem po 1989 roku powrócić na łamy tytułów prasowych, z którymi współpracowałem wcześniej, powrócić było trudniej niż debiutować. W redakcjach, po weryfikacjach, pracowali zupełnie nieznani mi ludzie. Szczęście mnie nie opuszczało. Wiatrem w twórcze żagle była złożona przez Grzesia Szumowskiego propozycja zaprojektowania, w jego zastępstwie, lalek do telewizyjnej Szopki Noworocznej 1990/1991. Grzegorz, jeden z najwybitniejszych karykaturzystów

polских, miał tak wypełniony portfel zamówień, że nie był w stanie podjąć się tego zadania, które było marzeniem wszystkich karykaturzystów. Jestem mu za to wdzięczny do dzisiaj. To był początek mojej przygody we współpracy z telewizją, którą prowadziłem równoległe z rysowaniem dla prasy i wydawnictw książkowych.



Jacek Frankowski: „Jałta 1945” – ilustracja do widowiska telewizyjnego „Od Jałty do Magdalenki, czyli szopka w grajdole 1991”

Jakimi cechami powinien dysponować rysownik satyryczny?

Rzeczywistość pokazuje, że w dziedzinie rysunku satyrycznego o sukcesie nie koniecznie decydują umiejętności posługiwania się ołówkiem, czy piórkiem, bardziej zdolność stworzenia czytelnego przekazu odnoszącego się do realiów lub konkretnej sytuacji, który wywoła uśmiech lub gorzką refleksję. Mistrzem satyry opartej na bardzo prostych rysunkach, porównywanym poziomem do twórczości dziecięcej, był Sławomir Mrożek, autor popularnego w swoim czasie cyklu rysunków „Przez okulary Sławomira Mrożka”, które stały się klasyką. W moim przypadku, zamiast o talencie, wolałbym mówić raczej o szczerej chęci wypróbowania własnego poczucia humoru rysunkowego, z poczuciem humoru najpierw redaktorów, a później czytelników prasy. Sprowokowała mnie do podjęcia tego wyzwania, o czym już wspominałem, twórczość Andrzeja Mleczki, który imponuje artystyczną formą do dzisiaj.

Rysownikiem-karykaturzystą był Szymon Kobyliński. Jak dalece jest Panu bliska jego twórczość?

Z twórczością Pana Szymona zetknąłem się za pośrednictwem telewizji. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. byłem wiernym widzem jego telewizyjnych pogadanek ilustrowanych na bieżąco mistrzowskimi rysunkami. Tematyka, którą prezentował Pan Szymon, była mi, pasjonatowi historii, bardzo bliska. Gdy już zadebiutowałem jako rysownik prasowy, wielkie moje uznanie budziła zdolność Pana Szymona pokonywania ograniczeń

cenzury, demonstrowana w cotygodniowym rysunkowym komentarzu na pierwszej stronie tygodnika „Polityka”. Jak wielka była to sztuka wie tylko ten, kto publikował w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dlatego, chociażby, będę dozgonnie fanem twórczości Wielkiego Szymona.

Ilustrował Pan także kilkanaście książek, między innymi „Ogniem i mieczem - w karykaturze”. W 2007 roku ukazały się: „Huragan” t. 1-2 i „Szwależerowie Gwardii” z napoleońskiego cyklu Wacława Gąsiorowskiego. Dla wydawnictwa Księży Marianów ilustrował Pan cykl poradników „Jak być..” „Jak być mamą”, „Jak być tatą” dalej: teściową, babcią, dziadkiem itd.

Propozycja ilustrowania książek pojawiła się na fali popularności mojej twórczości telewizyjnej. Ilustrowanie książek dawało mi poczucie dłuższego bytu ilustracji niż rysunków prasowych, o których mówi się, że rysunek opublikowany w dzienniku żyje dzień, w tygodniku tydzień. Książki nie tak szybko trafiają na makulaturę. Ilustracje książkowe wymagają jednak innego rodzaju umiejętności niż rysunek prasowy. Bardziej, od poczucia humoru twórcy ceni się jego umiejętności warsztatowe. W tej dziedzinie mistrzem jest Edward Lutczyn. Wielką frajdę sprawiała mi możliwość szkicowania na planach filmowych Jerzego Hoffmana, którego twórczości jestem fanem. Cykl karykatur bohaterów Trylogii Sienkiewiczowsko-Hoffmanowskiej

od lat nie traci zainteresowania widzów, dzięki trwałej popularności dzieła Mistrza Hoffmana. Na planie filmu „1920 Bitwa Warszawska” pojawiałem się ze studiującym operatorkę synem Adrianem, który filmował pracę ekipy. Relacja z prac nad filmem o polskim zwycięstwie w 1920 roku stała się jego debiutem filmowym.

Jak powstał pomysł nakręcenia filmów o leśnikach, np. „Martyrologia leśników. Katyń, Sybir, Kresy”?

Debiutowałem w 2005 roku filmem „Adam Loret – szkic do portretu” zrealizowanym ze współpracy z Tomkiem Lengrenem. Adam Loret, przedwojenny Dyrektor Naczelny Lasów Państwowych, ma wybitne zasługi dla lasów, polskiej przyrody i tworzenia ekonomicznej siły odrodzonej Ojczyzny. Postać tragiczna. Zaginął po aresztowaniu przez NKWD na Nowogródczyźnie 17 września 1939 roku. Do dzisiaj nie udało się uzyskać od Rosjan dokumentów związanych z jego losem po aresztowaniu. Wymazany z historii przez cały okres PRL, zasługuje na przywrócenie pamięci. Filmem pokazującym dzieło i tragiczny los Adama Loreta podjąłem się tego zadania. Jest wiele tematów związanych z wkładem i ofiarą leśników na rzecz niepodległości. Staram się w twórczości filmowej dokumentować dowody niezłomnego patriotyzmu tej grupy zawodowej.

Leśnicy na Kresach Wschodnich byli pierwszymi ofiarami zsyłki

na Sybir 10 lutego 1940 roku. Wywożono leśników, osadników wojskowych, czyli żołnierzy wojny 1920 roku, a także wybitnych samorządowców. Wielu leśników, oficerów rezerwy złożyło swoje życie w Zbrodni Katyńskiej. Ci, którym udało się uniknąć syberyjskiej zsyłki stawali się pierwszymi ofiarami ludobójstwa na Wołyniu. Film ma swoją dramaturgię i jako leśnik miałem poczucie zobowiązania wobec tych ludzi, którzy stawali się ofiarami zbrodni zarówno niemieckich, sowieckich, jak i ukraińskich nacjonalistów.

Pana film „10.04.2010 Las Katyński” - relacja z uroczystości na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu w dniu katastrofy samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem. Proszę go przybliżyć.

Delegacja leśników przygotowywała się do wyjazdu do Katynia na organizowane przez Prezydenta Lecha Kaczyńskiego uroczystości 70 rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Miałem z kamerą uczestniczyć w tej sześćcioosobowej delegacji, której odmówiono miejsca w pociągu organizowanym przez Radę Pamięci Walki i Męczeństwa. Zbigniew Zieliński, były szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, zaproponował załatwienie dla mnie miejsca w prezydenckim samolocie, dla umożliwienia filmowego udokumentowania wydarzenia. Znał osobiście Władysława Stasiaka, szefa Kancelarii Prezydenta. W środę, 6 kwietnia, Zbigniew Zieliński otrzymał z Kancelarii

Prezydenta potwierdzenie zarezerwowania dwóch miejsc w prezydenckim samolocie. Ze względu na to, że delegacja leśników otrzymała zgodę dyrektora generalnego Lasów Państwowych na wyjazd busem, z żalem zrezygnowałem z lotu samolotem. Na szczęście Zbigniew Zieliński także nie skorzystał z miejsca w samolocie do Katynia. Być może w tym zdarzeniu kryją się powody mojego szczególnego, emocjonalnego stosunku do wszystkich ofiar tragicznego lotu. Wielu z nich znałem osobiście. Relacja z tych tragicznych obchodów Zbrodni Katyńskiej zawarta w filmie „10.04.2010 Las Katyński” jest formą hołdu, zarówno dla oficerów leżących w grobach katyńskich jak i ofiar katastrofy.

Jest Pan autorem scenariuszy i reżyserem ponad 15 filmów dokumentalnych. Poruszający, wzruszający film to: „Inka. Są sprawy ważniejsze niż śmierć”. Przybliżyła niezwykłą postać Danuty Siedzikówny ps. „Inka”, sanitariuszki 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej (utworzonej i dowodzonej przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, także zamordowanego potem przez komunistów).



Inka – druga z prawej – z żołnierzami 4. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK FOTO: IPN.GOV.PL

Przypomnijmy postać „Inki”. Była córką Wacława Siedzika - leśniczego z Puszczy. Białowieskiej i Eugenii z domu Tymińskiej. Ojciec „Inki” w lutym 1940 roku został wywieziony przez Sowietów do łagru w ramach pierwszej wielkiej wywózki mieszkańców Kresów na Sybir. Stamtąd dostał się do formowanej armii Władysława Andersa. Zmarł 6 czerwca 1943 w Teheranie. Matka „Inki” współpracowała z Armią Krajową, została aresztowana przez Gestapo w listopadzie 1942, a we wrześniu 1943 roku rozstrzelana w lesie pod Białymstokiem.

„Inka”, uczestnicząca jako sanitariuszka w akcjach przeciw NKWD i UB, w czerwcu 1946 roku została wysłana do Gdańska po zaopatrzenie medyczne. Tam, w lipcu 1946 roku - w wyniku zdrady - została aresztowana i poddana brutalnemu śledztwu. Odmówiła składania zeznań i 3 sierpnia 1946 roku została skazana na śmierć.

Wyrok wykonano 28 sierpnia 1946 roku na sześć dni przed osiągnięciem przez „Inkę” pełnoletności. Przejmujące są zdjęcia i opis wydarzeń z więzienia na ul. Kurkowej w Gdańsku, gdzie „Inka” była więziona, sądzona i uśmiercona strzałem w głowę. Sama śmierć niespełna 18-letniej „Inki” jest także wstrząsająca... Pluton egzekucyjny wykonujący wyrok na „Ince” i „Zagończyku” strzelając do skazanych oszczędził młodą dziewczynę. Inka nie była nawet draśnięta kulą egzekutorów. Uśmiercił ją dowódca plutonu strzałem w głowę.

Dopiero w 1991 roku wyrok śmierci unieważniono. Przez wiele lat próbowano zlokalizować miejsce pochówku „Inki”. Jej szczątki odnalazł zespół kierowany przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka w 2014 roku.

Jak powstał pomysł nakręcenia filmu o „Ince”?

Impulsem do zajęcia się tym tematem była informacja

publikowana we wrześniu 2014 roku w prasie, radiu i telewizji, że najprawdopodobniej zostały odnalezione szczątki Danuty Siedzikówny „Inki”. Byłem przekonany, że sformułowanie o prawdopodobnym odnalezieniu szczątków „Inki” wynika z potrzeby potwierdzenia tego badaniami genetycznymi. Mogłem przyjąć ze stuprocentowym prawdopodobieństwem, że wszystkie inne cechy odnalezionych szczątków musiały przekonywać, że należą one do „Inki”. Przypomniiał mi się wówczas komunikat z 1991 roku informujący o unieważnieniu wyroku śmierci wydanego przez komunistyczny sąd na młodocianej sanitariuszce. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas o „Ince”.

Bardzo poruszyła mnie historia skazania i wykonania wyroku na niepełnoletniej dziewczynie, której wojskowym zadaniem była pomoc rannym. Miałem nawet wątpliwości co do sensu anulowania wyroku, który przecież nie przywróci „Ince” życia. Szybko zrozumiałem, że anulowanie wyroku chociaż nie przywróci życia, zdejmie z „Inki” piętno zbrodniarki, przywróci jej godność patriotki, ofiary komunistycznego terroru.

Postanowiłem podjąć temat filmowej biografii „Inki”. Zapisałem tytuł filmu, nad którym rozpoczynałem pracę: „Inka. Zachowała się jak trzeba”. Gdy przygotowywałem się do rozpoczęcia zdjęć, telewizja 1 marca 2015 roku pokazała film Arka Gołębiowskiego „Inka. Zachowałam się jak trzeba”. Zbyt mała różnica w tytułach, żebym mógł pozostać przy pierwotnym pomysle. Kontynuowałem

pracę nie mając pomysłu na tytuł. W trakcie końcowego montażu, moją uwagę zwróciła wypowiedź rówieśniczki „Inki” Katarzyny Szpilewskiej, licealistki z 1 LO we Wrocławiu, noszącego imię „Inki”, która powiedziała, że dla „Inki” kwestia lojalności wobec kolegów z konspiracji w trakcie śledztwa była bardzo ważna. Była ważniejsza niż jej własne życie. To zdanie było dla mnie odkryciem. Miałem tytuł: „Inka. Są sprawy ważniejsze niż śmierć”. Opatrzność, lub dla innych szczęście, mi służyła. Udało mi się dotrzeć do ludzi znających „Inkę”. Zacząłem od rozmowy z Brunonem Tymińskim wujem „Inki”, który jeszcze w tamtym momencie zachowywał wspomnienia, lecz wkrótce nastąpił znaczny regres jego pamięci. Józef Rusak, żołnierz „Łupaszki” znał „Inkę” z okresu powojennej konspiracji. Opatrzność pamiętała o mnie. W sposób, który ktoś mógłby przypisać przypadkowi, pozwoliła mi dotrzeć do pamiętającego „Inkę” Witolda Grusa, syna nadleśniczego z Narewki, który w 1945 roku był szefem pracującej w nadleśnictwie „Inki”.

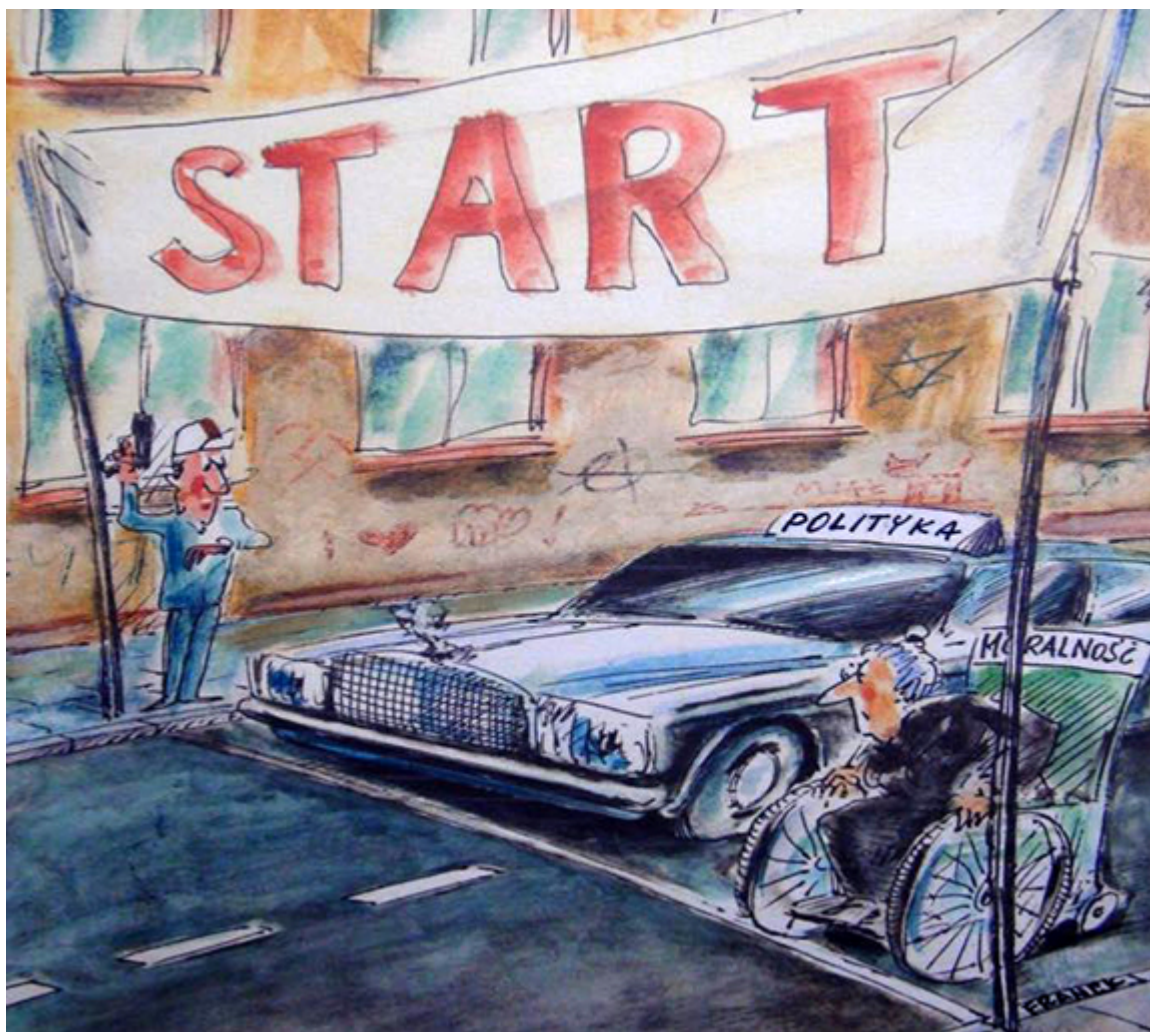
Praca nad filmem dostarczała mi silnych, niezapomnianych wrażeń, które z pewnością mają wpływ na mój system wartości. To jest siła niezłomności „Inki” i świadomie dokonanego przez Nią wyboru między życiem za cenę zdrady i śmiercią w imię wierności uznanym wartościom. Myślę, że ta jej niezłomność nie pozostawia widza filmu obojętnym.

To zaszczyt, że mogłem zrealizować film poświęcony tragicznej

biografii dziewczyny z Białowieskiej Puszczy, niezwyklej bohaterki walki o wolność Ojczyzny.

...Niezapomniana była wielka manifestacja patriotyczna, jaką był pogrzeb „Inki” i „Zagończyka” z uroczystościami żałobnymi w Bazylice Mariackiej i na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku 28 sierpnia 2016 roku.

Przypomnijmy, że w tym samym dniu wykonania wyroku na „Ince” 28 sierpnia 1946 roku także w więzieniu przy ulicy Kurkowej w Gdańsku, wykonano wyroki śmierci na podporuczniku Feliksie Selmanowiczu, pseudonim „Zagończyk”. Walczył w 3., 4 oraz 5. Wileńskich Brygadach AK. Od marca do czerwca 1946 roku, pluton, którym dowodził dokonał szeregu akcji między innymi w Gdańsku, Sopocie, Olsztynie i Tczewie, zdobywając broń oraz gotówkę, która została przekazana oddziałowi „Łupaszki”. Aresztowano go w lipcu 1946 roku i skazano na karę śmierci.



Jacek Frankowski: „Polityka i moralność”

Nie ogranicza się Pan do twórczości karykaturzysty i filmowca dokumentalisty. Dotarł do mnie Pana debiut literacki „Galeria ZAiKS 1918-2018 sto stron na stulecie”

Pisarze są dla mnie artystyczną grupą szczególnego zainteresowania. To ich twórczości zawdzięczaam możliwość kształtowania wyobraźni plastycznej. Przecież czytając książkę, wyobrażamy sobie bohaterów i opisywane sceny. Słowa z książek przekładają się na obrazy. To jest cudowne. Czytanie literatury pobudza wrażliwość i uzdalnia wyobraźnię czytelnika do

twórczej, obrazowej kreacji. Jestem przekonany, że swoją zdolność przekazywania treści rysunkiem i tworzenie opowieści filmowych zawdzięczam w dużej mierze pisarzom. Moja mama Janina Frankowska z Frankowskich (sic), niespełniony talent literacki, troszczyła się o rozwinięcie, od najwcześniejszego dzieciństwa, mojego zainteresowania książkami. Do dzisiaj pamiętam czytane przez mamę cudowne wiersze z książek „Brzechwa dzieciom” czy „Lokomotywa” Juliana Tuwima. Jako prezent z okazji pierwszej komunii otrzymałem „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego, książkę opisującą wojenne, tragiczne losy bohaterskich żołnierzy AK Batalionu „Zośka”, które bardzo mnie poruszyły. Moim pierwszym szefem w Instytucie Badawczym Leśnictwa był prof. Tytus Karlikowski, żołnierz Baonu „Zośka” odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari za udział w walkach w Powstaniu Warszawskim. Swoje włączenie w pracę Społecznego Komitetu Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu „Zośka” traktuję jako wywiązanie się z zobowiązań wobec pamięci o poległych bohaterach, a także wobec wskazania jakim było podarowanie mi przez mamę książki o „Zośkowcach”.

Drugą książką wręczoną mi przez mamę z piękną dedykacją, którą traktuję jako swoiste zobowiązanie wobec historii, jest „Ziele na kraterze” Melchiora Wańkowicza, pisarza, którego otaczam kultem za jego wielki talent i dorobek w utrwalaniu historii, na którą składają się często drobne, ulotne wydarzenia,

w sposób genialny ożywiające opowieść. Wańkowicza czytało się i czyta, co jest dowodem nieprzemijających walorów jego twórczości. Cieszę się, że dzięki Pani książkom poświęconym Wańkowiczowi postać cenionego pisarza staje się dla mnie jeszcze bliższa.

Bardzo możliwe, że gdzieś w podświadomości, nurtowała mnie zazdrość wobec pisarzy, bo zadebiutowałem literacko książką poświęconą biografiom wybitnych twórców wpisanych w stuletnią historię Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. „Galeria ZAiKS 1918-2018 sto stron na stulecie” jest wyrazem hołdu dla dokonań kilkudziesięciu twórców i organizatorów działalności ZAiKS, z których wielu ma do dzisiaj uznaną pozycję, lecz wielu popadło w niezasłużone zapomnienie. Związany jestem od ponad czterdziestu lat z ZAiKS-em, ceniąc wysiłki i osiągnięcia Stowarzyszenia na polu ochrony praw autorskich. Mój literacki debiut traktuję jako spłatę długu wobec tych, którzy poświęcali swój talent i twórczy czas, walce o ochronę praw autorskich w okresach historycznych nie zawsze sprzyjających takiej działalności. Po tym pierwszym doświadczeniu marzy mi się napisanie sagi rodowej, która gdyby nawet miała być czytana tylko w rodzinie to warto poświęcić temu tematowi czas.



Jacek Frankowski: „Sąd Ostateczny”

Z Jackiem Frankowskim rozmawiała Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Wywiad ukazał się w „Nowym Dzienniku”, Nowy Jork, 1 marca 2020 r.

Zobacz też:

Prześmiewczy głos Ryszarda Drucha.

Ryszard Druch – rysunki satyryczne

Ucieczka polskiego oficera z transportu do Starobielska

Barbara M. J. Kukulska

Żyli wśród nas cisi bohaterowie II wojny światowej. Zupełnie przypadkowo, w rozmowie z Przemkiem Dąbrowskim zamieszkałym z rodziną w Pretorii, okazało się, że przyjechał z Anglii z rodzicami do Południowej Afryki mając zaledwie sześć lat, w lutym 1948 roku.

Historia to niezwykła i zupełnie nie znana tutejszej Polonii. Jego ojciec będący oficerem, uciekł we wrześniu 1939 roku z transportu kolejowego skierowanego do Starobielska. Pociąg był pod ścisłą kontrolą NKWD, a jednak udało się Zygmunтови Dąbrowskiemu w sposób nieprawdopodobny

zmylić pilnujących i wydostać z wagonu, co uratowało mu życie.

Major dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski (ojciec Przemka) opisał wspomnienia z września 1939, w pracy konkursowej w r. 1980, która w r. 1986 wraz z innymi nagrodzonymi pracami konkursowymi została wydana w formie książki przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie i Fundusz Kazimierza F. Vincenza w Szwajcarii.

Zygmunt Dąbrowski był odkomenderowany z wojska na studia na Politechnice Warszawskiej na wydziale mechanicznym sekcję uzbrojenia które ukończył w roku 1937 z tytułem inżyniera mechanika. Po wybuchu wojny mając stopień porucznika dostał przydział w Wojskowym Instytucie Przeciwigazowym w Warszawie i 4 września 1939 roku zameldował się tam na podstawie planu mobilizacyjnego „z czerwonym paskiem”. Pogłoski głosiły, że front zachodni trzyma się bardzo dobrze. Pomimo tego zwierzchnicy Wojskowego Instytutu zdecydowali się na zabezpieczenie całego sprzętu Instytutu i przewiezienie w nocy z 4 na 5 września na drugą stronę Wisły do Mińska Mazowieckiego. W dniu 5 września por. Dąbrowski otrzymał rozkaz zmiany miejsca postoju i dojechania na własną rękę do Mińska Mazowieckiego.



Zdjęcie ślubne Marii i Zygmunta Dąbrowskich. Pobrali się w Warszawie, 28 czerwca 1934 r. w kościele św. Krzyża.

Był od pięciu lat żonaty z Marysieńką, która pakując do jego walizki kilka bochenków chleba i puszki konserw, naraz nieoczekiwanie zawołała:

- Ja jadę z tobą! Wyjęła z walizki jeden bochenek chleba i włożyła na jego miejsce parę swoich rzeczy. Zamknęła walizkę i była gotowa. Ubrana była w ciemnozielony kostium

sukienny wyglądający jak mundur.

Opisuje dalej:

Miałem jechać na własną rękę koleją i nie widziałem, abym przekraczał jakikolwiek punkt regulaminu służby biorąc Sieńkę (dop. aut.: *skrót od MarySieńki*) ze sobą. Zabrałem walizkę i polowy płaszcz wojskowy, a Sieńka w rękę wzięła swoją jesionkę brzoskwiniową. Poszliśmy do tramwaju. Pamiętam, że się obejrzałem na dom, w którym przeżyliśmy nasze pierwsze pięć lat małżeństwa tak szczęśliwie. Zobaczyłem jak właścicielka domu wychyliła się z okna i przeżegnała nas odchodzących krzyżem. Dom ten, jak się dowiedzieliśmy później, został w kilkanaście dni później trafiony pociskiem artyleryjskim przez Niemców oblegających Warszawę. Był on na ulicy Ursynowskiej 24.

Niedaleko Dworca Głównego znajdowało się biuro Orbisu, gdzie por. Dąbrowski wstąpił po mapę Europy, aby być zorientowanym i „móc obserwować jak i gdzie Alianci nasi zaatakują Niemcy”. Odległość pomiędzy Warszawą a Mińskiem Mazowieckim to zaledwie 50 km.

Pociąg stawał wiele razy i biegaliśmy w pole do rowów, lub pod drzewka, gdy samoloty leciały. Ani jedna bomba na nas jednak nie spadła, ale jazda była tak zwolniona, że wreszcie zapadła czarna noc, a my ciągle jechaliśmy i stawaliśmy.

Po ośmiu godzinach dojechali do Mińska Mazowieckiego. Tam okazało się, że Instytut ma rozkaz dalszej ewakuacji na Brześć. Skierowano ich do towarowego pociągu, gdzie było wielu „oficerów z Instytutu, którzy też z żonami przenosili się z Warszawy do Mińska Mazowieckiego”.

Dotarli do Siedlec, a stamtąd po kilku dniach jazdy dojechali do Lwowa w dniu 10 września. Wojskowy Instytut Przeciwigazowy miał pracować na Uniwersytecie Lwowskim w pracowniach Wydziału Chemicznego. Już 12 września zarządzono alarm na Uniwersytecie. Rozdzielono kadrę Instytutu na trzy części i kolejno opuszczano w pośpiechu miasto Lwów. Część kadry wraz ze sprzętem Instytutu wysłano na samochodach ciężarowych. Następne grupy wymaszerowały ze Lwowa 13 września

piękną drogą, z obu stron wysadzaną drzewami, kierując się na Złoczów. Był piękny słoneczny dzień. (Żona) Sieńka zwawo maszeruje w jednej czwórce ze mną, por. Sajdakiem i ppor. Szpyrkowiczem. Jedyne bagaż, jaki mieliśmy, to była

moja torba oficerska, zawierająca najniezbędniejsze rzeczy.

Walizki i wszystkie rzeczy stanowiące ekwipunek zmagazynowali przed wymarszem w podziemiach Uniwersytetu Lwowskiego. Nigdy już tam nie wrócili. Maszerowali i byli podwożeni podwodami.

Nad ranem 15 września w piątek dotarliśmy do grupy chatek, należących do jakiejś osady, czy wsi, w pobliżu Brodów i poszliśmy spać w stodole na sianie. Nagle obudziła nas kanonada strzałów armatnich od wschodu. Zerwaliśmy się, bo gdzież nam było do spania! Czyżby Sowiety uderzyły nas zdradziecko? Jeśli tak, to przecież byłaby niewiarygodna katastrofa dla nas i już mowy by nie było do kontynuacji zorganizowanego oporu naszej armii.

Okazało się, że „lotnik niemiecki bombardując stację kolejową trafił w pociąg z amunicją artyleryjską, która wybuchła samoczynnie, choć samolot nieprzyjacielski dawno odleciał.” Z Brodów odesłano oddział na północ do Dubna, gdyż dowódca garnizonu Dubna zgodził się na przyjęcie Instytutu do tworzonej przez niego Legii Oficerskiej.

Dołączenie miało nastąpić w niedzielę 17 września 1939 roku.

Ale gdy ten dzień nadszedł, jednocześnie z nim nadeszła wstrząsająca wiadomość, otrzymania której tak się obawialiśmy dwa dni temu: Armia Czerwona wkroczyła do Polski. W Dubnie ich jeszcze nie było.

Dowódca oddziału

zarządził odprawę dla wszystkich oficerów Instytutu. Zawiadomił nas, że wkroczenie Sowietów do Polski jest pogwałceniem i zerwaniem wszelkich umów z Polską, ale że nie ma rozkazu stawiania im oporu zbrojnego.

Zastanawiano się co w tej sytuacji zrobić, kiedy oddział znajdował się daleko na północ. Najwłaściwsze wydawało się iść na Rumunię i dalej na zachód do nowej Armii Polskiej. Jednak ten plan był nie do zrealizowania, gdyż trzeba przejść przez wrogie Polakom tereny wsi ukraińskich dzielących oddział od Rumunii.

Po naradzie oficerskiej dowódca major Brzozowski zdecydował, że oddział rusza w kierunku Warszawy. Do przebycia były Demidówka, Beresteczko i dalej bocznymi drogami na zachód. Dowódca przekazał, że

oficjalne cele wkraczających bolszewików nie są znane, ale na pewno oni nie idą, aby się bić z Niemcami i na pewno nie jest ich celem wsparcie i utrzymanie Armii Polskiej. Im dłużej unikniemy zetknięcia z nimi, tym lepiej będzie dla naszego oddziału.

Oddział dotarł aż do rzeki Bug i nie spotkał na swej drodze czerwonoarmistów. Natomiast dowódca z Dubna wraz z utworzoną przez niego Legią Oficerską skierowali się

na południe, gdzie już pierwszej nocy zostali ostrzelani przez sowieckie karabiny maszynowe i wkrótce wszyscy znaleźli się w łapach bolszewickich. Prawda, że los ich potoczył się tym samym torem, co i ewentualnie i naszych oficerów: Szepietówka, Kozielsk lub Starobielsk, a potem różne Katynie!

Oddział wędrując bez przerwy, korzystał z podwodów. Napotykali na drodze inne oddziały polskie, które też obrały kierunek przez historyczne miasteczko Beresteczko. Kolumny wymijały się, zjeżdżały z drogi. Całe wzgórze pokryte było masą taborów, artylerii i różnych oddziałów maszerujących na zachód. Oddział dotarł do polskiej wsi osadników wojskowych Drużkopól.

Mężczyźni z tej wsi pracowali jako policjanci w Horochowie i zdecydowali, że będą trwać na swoich posterunkach.

Wszyscy ci Polacy czekają na nieznaną i nieuchronną przyszłość bezradnie, a my zdajemy sobie sprawę z tego, że ona będzie straszna. I niewątpliwie taką była!

Dowódca oddziału „mjr Brzozowski zarządził odprawę: Warszawa walczy dalej! Maszerujemy do niej!” Major Brzozowski kupił dodatkowy wóz od hrabiego Potockiego i dostał też od niego przewodnika do wskazania bocznych dróg, aby uniknąć spotkania z bolszewikami. Ludność ukraińska dekorowała kwiatami bramy wjazdu do miejscowości na powitanie Armii Czerwonej. Natomiast w polskich wioskach goszczono ich chlebem i mieli zapewnione bezpieczne noclegi. Oddział zbliżał się do wiosek ukraińskich. Ukraińcy zrobili zasadzkę na zwarty oddział polskiego wojska i zmusili do oddania broni i amunicji.

Fakt rozbrojenia odczuwaliśmy jako policzek, jako fizyczny ból, jako hańbę dla munduru żołnierza polskiego. Inna sprawa, że zasadzka była dobrze pomyślana i miejsce na nią kapitalnie wybrane. Pewno, że mogliśmy próbować rozpierzchnąć się do domów wzdłuż drogi i bronić się z nich, ale z taką bronią jaką my mieliśmy, to było bezsensowne.

Zresztą, co by nam to dało? Nie mieliśmy się gdzie przebijać ani też znikąd oczekiwać pomocy! Szliśmy dalej. Przeszliśmy przez wieś, potem koło tego lasu skąd do nas poprzednio strzelano.

Oddział kierował się na Poryck do mostu przez Bug, ale chciał uniknąć spotkania na swej drodze bolszewików. Otrzymali meldunek, że bolszewicy już są we Włodzimierzu Wołyńskim. Wcześniej była osada czeska, gdzie dowiedzieli się, że z Porycka nie da się przejść na drugą stronę Bugu. A jednak próbowali dostać się jak najbliżej rzeki. Na drodze zatrzymani zostali przez uzbrojonych Ukraińców, którzy zrewidowali wojskowych szukając broni. Po przeszukaniu, wydali zaświadczenie o rewizji i o nie posiadaniu broni. Po wkroczeniu do Porycka spotkała ich ponowna kontrola i skierowanie na nocleg do czeskiej wsi. Utworzony był tam komitet samorządowo-czerwony, który przydzielił oddziałowi urzędowego przewodnika z przepustką pozwalającą na poruszanie się tylko do 15 km.

Maszerujemy, budząc ciągle zdziwienie spotykanych ludzi, skąd się tu naraz wziął zwarty i zdyscyplinowany oddział wojska polskiego. I znów kontrola naszej przepustki przy jakiejś bramie triumfalnej zbudowanej dla Sowietów z zieleni, z kwiatkami już zwiędłymi.

Nie dano im spokojnie przejść, zostali otoczeni przez Ukraińców wymachującymi karabinami i krzyczącymi na nich. Sytuacja była coraz groźniejsza, gdyż oddział znajdował się na terenie zajęтым przez Sowietów.

Jedynym światłem przed nami była ta broniąca się Warszawa, do której chcieliśmy dotrzeć, nawet nie zastanawiając się, jak my do niej się dostaniemy.

Ukraińcy zmusili oddział do marszu drogą prosto do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie zajechał im drogę czerwony samochód z „komandirami” sowieckimi. To byli NKWDziści mówiący do nich po rosyjsku i ponownie kontrolujący, rewidujący. W mieście po których ulicach jeździły polskie samochody osobowe z sowieciarzami w środku, skierowano oddział do dużej bramy.

My ciągle jeszcze mieliśmy złudzenia, że nas sprawdzą i pozwolą iść dalej, za Bug, ...teraz nadzieje nasze zmaląy. Rozejrzeliśmy się. Przed nami widać wysoki długi mur.

Okazało się, że to było więzienie. Oficerowie sowieccy w czapkach z okrągłymi daszkami z granatowym otokiem NKWD,

wypyтали polskich oficerów o ich dane. To, że są pracownikami naukowymi Wojskowego Instytutu, nie przekonało ich i po kolei zostali zapisani w książkach ewidencyjnych. Jedynie żona, Marysieńka Dąbrowska została wypuszczona w nocy i ulokowana u Polaka aptekarza we Włodzimierzu Wołyńskim.

2

Strasbano z Kugela
Rue d'Office

RYSOPIS - SIGNALEMENTS

FOTOGRAFIE - PHOTOGRAPHIES

Rok urodzenia Date de naissance	<i>12. III 1909</i> 1896	Żona - Femme <i>1909</i>
Miejsce urodzenia Lieu de naissance	<i>Grodzisk Maz.</i>	<i>Warszawa</i>
Stan Etat civil	<i>żona - mariée</i>	<i>małżonka - mariée</i>
Zatrudnienie Profession	<i>inżynier - ingénieur</i>	<i>inżynier - ingénieur</i>
Wzrost Taille	<i>średni - moyenne</i>	<i>średni - moyenne</i>
Twarz Visage	<i>owalny - ovale</i>	<i>owalny - ovale</i>
Włosy Cheveux	<i>c. blond - blond f.</i>	<i>c. blond - blond f.</i>
Oczy Yeux	<i>niebieskie - bleus</i>	<i>szare - gris</i>
Znaki szczególne Signes particuliers	<i>/</i>	<i>/</i>

DZIECI - ENFANTS

Wiek
Age

Płeć
Sexe

Podpis posiadacza
Signature du porteur

Zygmunt Dąbrowski *Maria Dąbrowska*

12. III 1909
inżynier - ingénieur
12. III 1909

WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI

Paszport Marii i Zygmunta Dąbrowskich wystawiony w Budapeszcie. Czerwonych skreśleń dokonano w Londynie.

podoficerowie wojska polskiego. Zgromadzono ich tam bardzo dużą grupę. Około południa, dnia 23 września 1939 roku, po otwarciu bramy więzienia wyprowadzono wojskowych poza bramy.

Przy każdym szeregu czwórki, z każdej strony szedł krasnoarmiejec z bagnetem na karabinie. Kolumna oficerów i podoficerów maszerowała ustawiona w szyku według starszeństwa; starsi oficerowie na przodzie, potem stopniowo młodszy stopniem, potem podoficerowie i szeregowi. Gdy ładowano wagony na przodzie, niedaleko nas zebrała się grupa kobiet, żon oficerów garnizonu z Włodzimierza Wołyńskiego.

Odszukały swoich mężów i rozmawiały z nimi płacząc. Ja odezwałem się do którejś z pań i poprosiłem, żeby dała parę rzeczy mojej żonie, która nie wie, że mnie wywożą. Dałem jej adres Marychny, paręset złotych, bo przecież była bez grosza oraz jej paszport, który miałem w mojej torbie oficerskiej. Tymczasem ładowanie wagonów postępowało i po chwili zaczęto ładować do wagonów tuż przede mną, a że my byliśmy na końcu kolumny oficerów polskich, więc załadowano nas, jako ostatnich oficerów do przedostatniego wagonu. Ostatni wagon zawierał tylko podoficerów i szeregowych. (...) Skoble suwanych drzwi naszych wagonów

towarowych były zawiązane na zewnątrz drutem, czego dokonywano natychmiast po załadowaniu kolejnego wagonu.



Por. Zygmunt K. Dąbrowski.

Wewnątrz wagonu, w którym było 40 ludzi, oficerowie rozlokowali się na podłodze i na małej mapce, którą ktoś

posiadał, wykreślili przypuszczalną trasę pociągu: Kowel, Równe, Zdołbunów. Zastanawiali się, gdzie zostaną przewiezieni w eskorcie krasnoarmiejców.

I wtedy ktoś zapytał: – Co oni z nami zrobią?, a z przedniego końca wagonu rozległ się stanowczy głos: – Oni nas zabiją! Nikt nie podjął dalszej dyskusji na ten temat!

Na stacji Równe, zaczęto ponownie sprawdzać dokumenty więzionych w wagonach ludzi i zwalniać cywilnych, którzy przypadkowo tam się znaleźli. Ktoś idąc do kontroli wyrzucił płaszcz żołnierski. Został on natychmiast złapany przez przyjaciela i przekazany Zygmuntowi, który swój piękny, dopasowany płaszcz oficerski stracił wcześniej podczas przeprawy z Ukraińcami.

Pociąg jechał wolno i po dwóch dniach 25 września dojechał do stacji Zdołbunów, gdzie zaczęto wypuszczać po 5-6 osób na „potrzeby własne”. Drzwi wagonu zasuwane były przez cały czas, a pilnował porządku krasnoarmiejec z karabinem w ręku. Por. Dąbrowski został wypuszczony w drugiej grupie. Pociąg wiozący polskich oficerów, był jedynym na stacji, gdzie wagony (z wyjątkiem ostatniego) były zamknięte, zadrutowane i pod strażą. W pociągu tym byli m.in. oficerowie którzy wraz ze swymi oddziałami stawiali zbrojny opór bolszewikom. Por. Dąbrowski

niepostrzeżony, robiąc małe kroki, przesunął się ze swojej oficerskiej grupy do grupy podoficerów i szeregowców przy ostatnim wagonie, w którym „było lepsze traktowanie”. Żołnierski płaszcz, który miał na sobie przykrywał ubiór oficera.

Krasnoarmiejcy

po pewnym czasie zdecydowali, że nasza grupa ma już wsiadać do wagonu... Ja na to zrobiłem dalszy krok w bok, który mnie całkiem dołączył do „nie oficerów”, od których nie odróżniałem się strojem zewnętrznym, poza eleganckimi butami oficerskimi.

Atmosfera w tym wagonie nie była tak napięta jak w wagonie oficerskim.

Na środku wagonu stała skrzynka otwarta z jabłkami, sprzedano mi kilka za 5 zł. Dostałem też chleba za 2 zł. Potem ktoś, kto miał sporo liści tytoniowych, zrobił transakcję ze mną i znalazłem się w posiadaniu sporej paczki. Dałem potem połowę ich przez okno [por.] Sajdakowi i [ppor.] Szpyrkowiczowi (dop. aut.: *przyjaciołom z wagonu oficerskiego*). W pewnej chwili, nie wiadomo skąd i od kogo, wieść się rozeszła, że możemy wychodzić z wagonu, że

jesteśmy wolni na stacji Zdołbunowa. Drzwi wszystkich innych wagonów naszego pociągu były dalej zawiązane drutem i straż z ręcznymi karabinami maszynowymi dalej przy nich stała. Przysunąłem się pod okienko mego dawnego wagonu. Dałem te moje tytoniowe liście Sajdakowi i powiedziałem, aby wzięli sobie moją torbę oficerską. Od tych wagonów pilnowanych odsunąłem się jednak, uważając bliskość ich za teren ryzykowny. Gdy odchodziłem z ciężkim sercem, z okien mego wagonu patrzyły za mną głowy milczące. Wagon nieoficerski był już pusty. Odtąd już nikt nie miał szansy ucieczki. Poszedłem na sąsiednie tory bezcelowo, nie wiedząc właściwie, gdzie mam iść i co robić...

Okazało się, że na długim placu miasteczka, bolszewicy zarządzili zbiórkę żołnierzy. Rozsyłano to wielkie nagromadzenie polskich żołnierzy w trzech kierunkach „do domów”. Ustawiony w dwuszeregu wraz z żołnierzami, zwracał uwagę swoimi oficerskimi butami. To wpłynęło na niepokój por. Dąbrowskiego, gdyż obawiał się ponownego uwięzienia i wywózki. Dlatego też, aby temu zapobiec, starał się niepostrzeżenie „wyłuskać” z dwuszeregu i widząc małego chłopca w polskiej harcerskiej czapce, podążył za nim oddalając się od placu. Chłopiec zaprowadził go do swoich rodziców, którzy byli polskimi kolejarzami.

Powiedziałem im, że jestem oficerem, że na zbiórce zarządzanej przez bolszewików moje buty zwracały uwagę i prosiłem, czy nie mają zwykłych butów które mógłbym odkupić od nich w zamian za moje oficerskie.

Przynieśli dziurawe buty, które w tej sytuacji miały wartość życia. Zostawił tam swoje piękne buty, spodnie – bryczesy, kurtkę wojskową z tak zwanej rogóżki. Po wyjściu od przyjaznej rodziny kolejarzy, w najbliższych krzakach zniszczył dokumenty świadczące o jego tożsamości: legitymację oficerską, indeks Politechniki Warszawskiej oraz inne papierki, które mogły go zdradzić. Zostawił tylko tymczasowe zaświadczenie ukończenia Politechniki, gdzie nie było jego zdjęcia w mundurze oficerskim. W nadmiarze pilności darcia dokumentów podarł „papierek” banknotu stużłotowego, którego później nie mógł odżałować. Zegarek z nadgarstka ręki przełożył na pasku w okolicy łokcia. Wmieszał się w grupę ludzi stojącą w kolejce po chleb.

Chleba ciągle jeszcze nie było, więc w myśl zasady, że lepiej głodno, ale bezpiecznie w tłoku, zrezygnowałem z chleba, zostawiłem kolejkę i dołączyłem do żołnierzy, którzy mi powiedzieli, że jadą na Wołkowysk. Przed furtką stał krasnoarmiejec z bronią.

Po podstawieniu pociągu,

wywoływano: – Białorusini wystąp! Między innymi i ja wystąpiłem (dop. aut.: *por. Dąbrowski dość dobrze władał rosyjskim, gdyż w dzieciństwie mieszkał przez kilka lat w Rosji*).

– Siadać do pociągu! Potem: – Ukraińcy wystąp! Siadać!

Wreszcie: -Polacy! A mało ich było, bo już dawno powsiadali, jako inne narodowości.

W Kowlu przesiadł się na pociąg idący do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie czekała na niego żona Marysieńka. Podczas przejścia z jednego toru na drugi zatrzymany został

przez krasnoarmiejca: – Czasy imiejetie? Odpowiedziałem „Niet” i odsunąłem rękaw, aby pokazać, że nie mam zegarka.

Doszedłem do pociągu, odszukałem wagon drugiej klasy, wszedłem. Byli tam nasi żołnierze, ale było wolne miejsce, więc usiadłem. I tak siedziałem cały dzień od świtu do zmierzchu. Wyszedłem raz, czy dwa i upewniłem się, czy siedzę w dobrym pociągu. „A kiedy odejdzie?” „Niedługo”.

Wracalem na swoje miejsce, do mego przedziału...Wreszcie noc. Pociąg stoi ciągle, a ja się boję, aby rewizji i sprawdzania dokumentów nie było, jako że, kto tu siedzi na stacji w nocy? No i raz wychodzę na peron – pusto, nikogo nie ma, nie ma kogo zapytać. Może jednak jest jakiś inny pociąg do Włodzimierza Wołyńskiego z innego toru!

Przez tę wielką niecierpliwość, wpadł w poważne tarapaty. Ledwo uszedł znów z życiem, gdy zaczął w nocy chodzić po nieoświetlonych torach. Natrafił na służbistę krasnoarmiejca, który wycelował w niego karabin z wysuniętym bagnetem. Nie słuchając jego wyjaśnień doprowadził go do podoficera, który kazał mu strzelać, gdyby aresztowany próbował ucieczki.

Następnie do oficera sowieckiego, który to

komandir raczej zmęczonym tonem powiedział do żołnierza, aby zabrał mnie do krasnoarmiejca stróżującego przy pociągu i spytał go, czy istotnie ja wyszedłem z pociągu. Żołnierz do mnie z bagnetem znowu i wyprowadził mnie na peron. Idziemy kilka kroków i jak tylko wyszliśmy poza zasięg światła lampy koło drzwi komandira, żołnierz wrzucił karabin pod pachę, powiedział do mnie – Stupaj i ja powędrowałem do swego pociągu, a on zniknął w ciemności... Około 7 rano pociąg ruszył i około 11 byłem we

Włodzimierzu Wołyńskim. Dworzec stał daleko od miasta, do którego prowadziła długa, szeroka i pusta ulica.

Por. Zygmunt Dąbrowski nie znał miasta i bał się zapytać o drogę na ulicę Dubnicką, gdzie u polskiego aptekarza zatrzymała się jego żona. Po jakimś czasie odnalazł ulicę i wszedł do kuchni domu. Wyglądał żałośnie; nieogolony z zarostem pięciodniowym, w obdartych brudnych butach, w spodniach z dziurami, oraz swetrze brązowym widocznym spod żołnierskiego płaszcza bez pasa.

Wszedłem do kuchni i prawie na wprost zobaczyłem Sieńkę, która postawiła coś co miała w ręku i podbiegła do mnie, a różne panie (uciekinierki, czy żony wywiezionych oficerów) zawołały widząc nasze powitanie – Co, wypuścili?. Przeraziły się i cofnęły, gdy odpowiedziałem – Nie, ja uciekłem. – A co z innymi? – Wywieźli ich do Rosji!

Na tę moją informację słów wszystkim zabrakło i Sieńka zabrała mnie z kuchni do pokoiku, w którym mieszkała. Opowiedziałem jej, co i jak było i ona poszła podzielić się tym z gospodarzami. Kiedy przyszła, przekazała mi, że się boją, żeby mnie nie zauważono i że musimy odejść jak najszybciej. Zgodziłem się chętnie, bo i mnie zależało na tym, aby zlikwidować się szybko z tego terenu. Zdecydowaliśmy się

ruszyć w drogę o świcie następnego dnia... Pod wołokową okładzinę manierki zaszyłem swoje papierki jakie jeszcze zachowałem oraz okrajaną na owalny kształt boku manierki legitymację kolejową, którą Sieńka miała razem z paszportem (wydaną przez władze wojskowe, jako żonie oficera). Robiąc to wsadziłem paszport żony pod papier okrywający blat biurka, tymczasowo, ale niestety zapomniałem o tym i paszport został tam na zawsze.

O świcie osobno opuścili dom aptekarzy, umawiając się na drodze pomiędzy miastem a stacją kolejową, gdyż nie chcieli, aby ktoś ich widział razem. Był duży ruch i w tym zamieszaniu minęli się, a to mogło pociągnąć zgubne konsekwencje, gdyż Marysieńka Dąbrowska czekała na dworcu i tam zaczepił ją komandir sowiecki.

Po wyrażeniu wspólnej radości, że któregoś z nas nie przyłapali, poszliśmy w kierunku na Uściług i most na Bugu. Doszliśmy do mostu i przeszliśmy spokojnie. Idąc dalej na Hrubieszów spotkaliśmy kolumnę jeńców polskich, całe oddziały: żołnierze z podoficerami i oficerami. To były te oddziały, które będąc osaczone przez bolszewików z jednej strony, a nie mając już amunicji do walki z Niemcami, którzy naciskali ich z drugiej strony, poddali się bolszewikom. Zupełnie tak jak we Lwowie, gdzie bolszewików - bardzo

mylnie niestety – nienawidzono mniej, niż Niemców! Potem wszyscy ci oficerowie byli zamordowani przez NKWD.

Kolumny ich maszerowały w milczeniu na wschód, po lewej stronie od nas otoczone krasnoarmiejcami z bronią. Sieńka i ja szliśmy z duszą na ramieniu ścieżką po prawej stronie drogi i szczęśliwie nie zaczepiono nas, chociaż ja miałem na sobie żołnierski płaszcz niechlujnie rozpięty.

Przeżycia związane z ucieczką z transportu kolejowego, tak bardzo postarzały por. Zygmunta, że napotykanii ludzie, którzy podwozili ich wozem, uważali, że jest ojcem Marysieńki.

Nawet po kilku dniach koło Lublina ciągle musieli uważać, aby ich nie zatrzymano. Władze sowieckie, które rozesłały w Zdołbunowie żołnierzy polskich do domów, po kilku dniach w okolicy Lublina ponownie „zagarniały” polskich żołnierzy.

To już oznaczało nową zmienioną fazę działalności sowieckiej i bardziej aktywne działania NKWD. Idąc, kiedy się już ściemniało, widzieliśmy gdzieś na prawo od kierunku Chełm-Lublin, daleko na przodzie błyski na horyzoncie które miały kształt łun ukazujących się na ułamek sekundy. Ponieważ słysząc było rodzaj głuchych grzmotów z tego kierunku, wywnioskowaliśmy, że to muszą być odgłosy bitwy, która

tam się toczy daleko.

W miejscowości Łączna obserwowali spotkanie konwoju samochodów niemieckich z flagą hitlerowską na przodzie, wraz z grupą samochodów pełnym komandirów sowieckich.

Widać było, że Niemcy uznają bolszewików za współników w napadzie na Polskę i wdzięczni są im za zwycięstwo. Bolszewicy robili wrażenie bardziej zdeorientowanych, jeśli pamiętamy o ich napisach kredą na wagonach: „Na Berlin!” Chociaż władza sowiecka łatwo zmieniała front w stosunku do nazizmu, który dał im połowę znienawidzonej Polski, to do wojska sowieckiego propagandy „przyjaznościowej” nie zastosowano i niektórym oddziałom mogło się wydawać, że oni weszli do Polski, idąc dalej przeciw Niemcom.

Por. Dąbrowski był przekonany, że uratował się z „łap bolszewickich” dzięki modlitwie.

Dziękowaliśmy Matce Boskiej za wysłuchanie naszych modlitw. Głęboko wierzymy, że opiece Matki Bożej, której się gorąco polecaliśmy, zawdzięczamy, że mieliśmy dar szybkiej orientacji w celu wykorzystania okazji i to zarówno teraz,

pod tą nawałnicą sowiecką, jak i później pod okupacją niemiecką.

Dopiero po latach dowiedział się, jak tragicznie zakończyli swoje życie jego koledzy i przyjaciele, oficerowie Wojska Polskiego, z którymi pracował w wojsku w czasie pokoju, i z tymi z którymi odbył wędrowkę wrześniową.



Przemek Dąbrowski urodził się w Anglii, a jego młodsza dwójka rodzeństwa Hanusia i Michał w Południowej Afryce.

Dziękuję Przemkowi i Liliannie Dąbrowskim, za udostępnienie unikalnej książki podającej tę nieznaną historię aresztowania polskich oficerów.

Od autora: Cytaty pochodzą ze wspomnień Zygmunta K. Dąbrowskiego.

Źródło: Mjr dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 - Unik przed którymś z Katyniów.”

Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” wydawanych w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.